

Krzysztof MORACZEWSKI

WSPÓLNY LOS Kilka refleksji o Polsce i Ukrainie

Najistotniejszą wspólnotą Polski i Ukrainy jest wspólnota losu społecznego, bo to ona pozwala przezwyciężyć dawne konflikty i niezabliźnione rany. Wiele się w Polsce pisze i mówi o postchłopskim charakterze obecnego polskiego społeczeństwa. Nie są to opinie bezpodstawne i należałoby przemyśleć ich konsekwencje. Być może najważniejsza z nich jest ta, że współczesne państwa: ukraińskie i polskie, a także ich społeczeństwa, są państwami i społeczeństwami ludzi, którzy w dawnej Rzeczypospolitej stanowili poddanych drugiej kategorii.

Wspólnota losów Polski i Ukrainy – krain, narodów lub państw, zależnie od historycznej konfiguracji – jest nieuchronna bez względu na to, co mogliby o niej myśleć, jak bardzo mogliby jej chcieć lub nie chcieć Polacy i Ukraińcy. Jedynie częściowo określają ją świadome decyzje i pragnienia dzisiejszych polskich i ukraińskich społeczeństw i państw. Zawsze była ona określana także przez „zewnątrznych” aktorów: nie tylko, co oczywiste, przez Rosję, Turcję i tatarski Krym, ale też przez układy bardziej odległe, przede wszystkim przez popyt na zboże w zachodniej Europie, zaopatrywanej przez amsterdamski handel i przez głównego agenta Amsterdamu nad Bałtykiem – Gdańsk.

Pierwszy wymiar tej wspólnoty losów określa geografia, a dokładniej stosunek między przestrzenią a władzą, czyli geopolityka. Wedle klasycznej, geopolitycznej koncepcji Halforda Mackindera¹ oraz kontynuatorów jego myśli i naukowych towarzyszy, zwłaszcza Nicholasa J. Spykmana² i Jamesa Fairgrieve’a³, Polska i Ukraina jako krainy geograficzne zajmują obszar eurazjatyckiej „strefy zderzenia” (ang. crash zone). Trudno o bardziej nieszczęśliwe położenie, twory polityczne tej strefy charakteryzują się bowiem nieuchronnym brakiem stabilności. Nic w tym zaskakującego – crash zone stanowi region geograficznego przepływu, który łączy dwa główne i autonomiczne sektory geopolitycznego układu, określane przez geopolityków jako „rimland” i „heartland”. Aby zagadnienia te objaśnić, trzeba się odwołać – głównie w celach ilustracyjnych – do przykładów dalekich od relacji polsko-ukraińskich.

¹ Zob. H.J. M a c k i n d e r, *Democratic Ideals and Reality: A Study in the Politics of Reconstruction*, National Defense University Press, Washington 1996.

² Zob. N.J. S p y k m a n, *The Geography of Peace*, Harcourt, Brace and Company, New York 1944.

³ Zob. J. F a i r g r i e v e, *Geography and World Power*, University of London Press, London 1941.

„Rimland” to obszar bogatych społeczeństw o rosnącym stopniu urbanizacji, których zamożność wynika z trwałego dostępu do najbardziej lukratywnego zajęcia ludzkości, czyli handlu morskiego. Kluczem do panowania w tej strefie jest flota – przede wszystkim flota – oraz ożywiony handel wewnętrzny, zwłaszcza rozmaite postaci obsługiwanego przez flotę handlu wewnętrznego (różne odmiany tego, co Anglicy w wieku osiemnastym określali jako „country trade”, a czego najsłynniejszym przykładem jest handel „z Indii do Indii”) oraz handlu dalekosiężnego. Rimland jest więc z konieczności miejscem nieustannej gry o władzę, nieustannych przetasowań, ale i krótszych lub dłuższych dominacji. Ktokolwiek bowiem zdoła zawładnąć morzami, może podporządkować sobie rimland. Proces zmiany dominującego ośrodka, tak starannie analizowany przez Fernanda Braudela⁴ w dziejach europejskiej „gospodarki-świata” (niem. Weltwirtschaft), jest więc po pierwsze historią walki o dominację nad zachodnim rimlandem, o dominację morską i handlową. Jak wiemy, u progu nowożytności walkę tę wygrała Wenecja, by po dość krótkim epizodzie geneueńskim i antwerpskim ustąpić miejsca nowożytnym gigantom: Amsterdamowi i Anglii pod przywództwem Londynu. Próby gwałtownej rewizji tego ładu, jakie podjęły Niemcy podczas dwóch wojen światowych oraz Rosja Sowiecka podczas próby przebiccia się przez Polskę dla wywołania rewolucji światowej i – przy okazji – „drugiej wojny ojczyźnianej”, nie przyniosły efektu i bezapelacyjna władza nad zachodnim rimlandem znalazła się w końcu w rękach Stanów Zjednoczonych. Zachodnia Europa wraz z atlantyckimi wybrzeżami Ameryk nie jest oczywiście jedynym rimlandem na świecie. Jest jeszcze potężny rimland azjatycki z wybrzeżami Indii, Chin i Korei, Japonią i Archipelagiem Malajskim. Centrum tego azjatyckiego rimlandu także bywało zmienne, ale pozostawało w taki czy inny sposób podporządkowane Indiom i Chinom, a dziś bezapelacyjnie należy do Chin. Oba te rimlandy zawsze były połączone, a rolę lądowego pomostu między nimi odgrywała Persja. Stąd losem mocarstw śródziemnomorskich – od Cesarstwa Rzymskiego po osmańską Turcję – szukających drogi do Indii, od zawsze naznaczony był przez wojny z Persją. Dopiero Portugalczycy w piętnastym wieku połączyli te dwa regiony drogą morską, zapoczątkowując proces ich stapiania się. Ów proces stapiania się rimlandów jest już chyba zakończony, skoro Stany Zjednoczone i Chiny ścierają się właśnie w walce o globalną dominację.

Cóż jednak bogaty rimland chce uzyskać od zawsze uboższych krajów strefy zderzenia, takich jak Polska i Ukraina? Otóż naprzeciw rimlandu leży druga wielka siła geopolityczna, czyli heartland. Określenie „heartland” odnosi się do krajów o wyjątkowej głębi terytorialnej, odciętych od handlu morskiego,

⁴ Zob. F. B r a u d e l, *Kultura materialna, gospodarka i kapitalizm. XV-XVIII wiek*, t. 1, *Struktury codzienności*, tłum. M. Ochab, P. Graf, PIW, Warszawa 1992.

ale gigantycznych, dalekich i zwykle bardzo zasobnych w surowce: niegdyś drewno i futra, a potem ropę, gaz, cenne złoża mineralne. Heartland ma także wszelkie warunki po temu, by produkować żywność, którą rimland niejednokrotnie musi kupować. Rimland i heartland są więc poniekąd na siebie skazane. Pierwszy potrzebuje i pożąda surowców i żywności. Kraje heartlandu, których nie da się opanować za pomocą floty – takie jak Rosja – z punktu widzenia bogatych wybrzeży zawsze prezentują się jako dzikie i barbarzyńskie, a w najlepszym razie nieokrzesane. Zarazem jednak, jako pozostające poza zasięgiem władzy, fascynują – tak jak Rosja od osiemnastego wieku fascynuje francuskich intelektualistów. Heartlandu bowiem rzeczywiście nie sposób sobie podporządkować. Jedyne ludzie, którzy utracili zdolność oceny sytuacji, jak Napoleon i Hitler, próbowali tego dokonać. Ich los jest zresztą znaczącym argumentem na rzecz koncepcji geopolitycznej. Stany Zjednoczone są jedynym państwem, które w skuteczny sposób połączyło rimland z własnym heartlandem, jakim jest amerykański interior (na który światowi amerykanie z rimlandu, z Nowego Jorku lub Los Angeles, patrzą jak zachodnia Europa na Rosję, śmiejąc się ze swoich rednecks, chociaż bez nich ów rimland byłby tylko pasem kupieckich wybrzeży).

Mówiąc najkrócej: heartland chciałby dojścia do morza i uczestnictwa w bogactwie rimlandu, chciałby wejść do wielkiej gry. Dlatego Iwan Groźny niszczył Wielki Nowogród i parł ku Inflantom, Piotr Wielki budował Petersburg, Katarzyna Wielka w konfrontacji z Turcją parła ku Krymowi, a rosyjska szlachta osiemnastym wieku mówiła po francusku. Rimland natomiast – o ile nie próbuje realizować szalonych pomysłów podboju heartlandu (co zdarza się epizodycznie) – chciałby kontrolować drogi łączności z heartlandem, morskie i lądowe: jak Anglicy w Archangielsku w czasach The Moscovy Company, jak Holendrzy w Gdańsku i jak Turcy, utrzymujący na Krymie Tatarów. Problem polega na tym, że w naszej części świata wszystkie drogi z heartlandu do rimlandu wiodą przez Polskę i Ukrainę. Krainy te stanowią łącznie nie tylko wykorzystywany od neolitu pas komunikacji między szerokimi wnętrzami Azji i Wschodniej Europy oraz Europy Zachodniej, ale też odkryte najpóźniej w dziesiątym wieku przez szwedzkich Waregów, lądowe – a dzięki rzekom efektywne – połączenie między Bałtykiem a Morzem Czarnym.

W związku z tym we wspólny geograficzny los Polski i Ukrainy wkrada się znacząca różnica. Obie te krainy są wprawdzie poddane penetracji ze wschodu i z zachodu, są one jednak niejako definiowane przez różne strefy polityczne i cywilizacyjne: Polska przez Bałtyk, Ukraina natomiast przez Morze Czarne. Dla Polski oznacza to nieudaną zwykle konfrontację z władcami mórz północy: od średniowiecza z Hanżą, a więc z Lubeką, czyli ze światem autonomicznych kupców (bynajmniej nie z niemieckim państwem czy niemieckim żywiołem etnicznym), a następnie z przewoźnikami świata, czyli Holendrami.

Podporządkowany kolejno tym potęgom Gdańsk, egzekutor władzy rimlandu nad Polską, zajmie w sposób oczywisty eksponowaną pozycję. Polska nigdy nie zdołała zrewidować tego ładu, a chyba jedynie Batory rozumiał jego wagę i nie bez powodu rozpoczął swoje panowanie od tak niepopularnej wśród narodu szlacheckiego wojny z Gdańskiem (naród szlachecki był bowiem beneficjentem władzy rimlandu, przerzucającym gospodarczy wysiłek na chłopów i karłowaciejące miasta⁵), a zakończył – bijąc się w Inflantach. Wyjątkowość Batorego polega na tym, że toczył on wojny tam, gdzie było to rzeczywiście potrzebne (co w Polsce było rzeczą niesłychaną). Ukraina z kolei przynależy do świata, który był niegdyś od początku do końca bizantyński, to Morze Czarne żywiło bowiem cesarski Konstantynopol. Kiedy zaś stał się on tureckim Stambułem, ten element sytuacji nie uległ zmianie: dla Turków osmańskich pilnowane przez Tatarów Morze Czarne nie tylko stanowiło własne jezioro, dostępu do którego starannie się strzeże i z którego czerpie się żywność, ale też jeden z głównych szlaków przyływu niezbędnych zasobów ludzkich, czyli niewolników pojmanych przez Tatarów i sprzedawanych na rynkach Stambułu. Wiadomo, w jakim stopniu tatarskie polowania na jasyr, a więc, w rzeczywistości, zapotrzebowanie Stambułu na niewolników, wyznaczały tragiczną codzienność Rusi.

Obok Turcji jest także Rosja. Jak już wspomniałem, jej dążenie do rimlandu realizuje się nie tylko jako parcie ku Bałtykowi, gdzie nie sposób sprostać ówczesnym władcom z zachodu, ale też jako bardziej obiecujące parcie ku Morzu Czarnemu i ku łatwiejszej konfrontacji z Turcją, co przy okazji otwiera drogę do świata persko-arabskiego, a więc lądowego pomostu między Europą a Indiami, pomostu o wielotysiącletniej świetności. Tak więc Katarzyna Wielka musi niejako po drodze zlikwidować Sicz Zaporoską i Chanat Krymski, a Krym nie zniknie i nie może zniknąć z rosyjskiej polityki.

Teorie geopolityczne należy oczywiście traktować z odpowiednim dystansem. Nie chodzi o to, że niska jest ich moc wyjaśniająca – jest wprost przeciwnie – ani też o to, że reprezentują one podobno już „przewyciężony” model scjentyistycznego myślenia o sprawach ludzkich. Należę do ostatnich, którzy czyniliby z tego zarzut. Problem z tymi koncepcjami polega na tym, że uznają one reguły projekcji siły za rządzące zjawiskami ludzkimi bez względu na przyjmowane przez ludzi przekonania i podejmowane świadomie decyzje. Oczywiście możliwe jest, że tak się dzieje, nie należy jednak traktować tej kwestii tak, jakby była rozstrzygnięta. Zasadniczą słabość geopolityki stanowi brak refleksji nad relacjami między uwarunkowaniami zewnętrznymi, zwłaszcza geograficznymi (od czasów Paula Vidala de la Blache nikt rozsądny nie podaje ich w wątpliwość), a świadomym ludzkim działaniem. Ujmując to

⁵ Por. tamże, t. 3, *Czas świata*, tłum. J. Strzelecki, J. Strzelecki, PIW, Warszawa 1992, s. 222-228.

inaczej: słabością koncepcji takich, jak teoria Spykmana jest deterministyczne myślenie o zjawiskach ludzkich. W koncepcjach tych nie przyjmuje się – jak to czyni Braudel – że geografia wyznacza jedynie pewne granice tego, co dla ludzi możliwe i niemożliwe i że dopiero w ramach tych granic dokonują się skuteczne i nieskuteczne ludzkie działania. Geopolityka jest także „wygodna” moralnie, zdejmując bowiem z ludzi odpowiedzialność za ich decyzje, które ostatecznie okazują się jedynie projekcjami obiektywnych i rzekomo niezależnych od ludzkiej woli prawideł. Nie zmienia to faktu, że opis sytuacji geopolitycznej, jaki prezentuje koncepcja Spykmana oraz wyjaśnienia proponowane w licznych wystąpieniach jej propagatorów – na przykład Jacka Bartosiaka⁶ – pozwalają przynajmniej zrozumieć warunki, w jakich muszą działać Polacy i Ukraińcy.

Jak widzimy, wspólny los geopolityczny Polski i Ukrainy jest tylko częściowo wspólny. Polska bez Ukrainy nie jest skazana na polityczny los Morza Czarnego, Ukraina bez Polski nie jest skazana na konfrontację z Bałtykiem i Europą północną. Zarówno Polska, jak i Ukraina znajdują się jednak na tej samej linii przepływu ludności, towarów i idei między wschodem i zachodem, a historia niejako uwspólniła pozostałe aspekty ich sytuacji.

Obok wspólnoty geograficznej obu krajów występuje bowiem także wspólnota historyczna, gdyż Polska i Ukraina przez wiele długich stuleci należały do tego samego państwa. Podkreślmy to z całą mocą: Ukraina nigdy nie była częścią Polski. Zarówno Polska, jak i Ukraina jako kraje należały do tego samego państwa, którym była najpierw monarchia jagiellońska, a potem Rzeczpospolita Obojga Narodów. Żadne inkarnacje państw polskich i ukraińskich po roku 1918 nie mogą zostać uznane za bezpośrednich spadkobierców tamtych dawnych państw. Po pierwsze, nie były to państwa narodowe, lecz terytorialne, wiązane nie przez zależności etniczne i językowe, lecz – na mocy unii prawnej – przez wspólne instytucje władzy, a przez długi czas przez więzy lojalności względem tej samej litewskiej dynastii. Chociaż w takim postawieniu sprawy nie ma nic rewolucyjnego, a polscy historycy, przynajmniej od czasu polskiego wydania *Bożego igrzyska*⁷ Normana Daviesa, przywykli do takiego rozróżnienia, to istnieją powody – co stanie się jasne dalej – by raz jeszcze je przypomnieć.

Sytuacja Polski i Ukrainy wewnątrz tego dawnego państwa nie była jednak symetryczna. „Koroniarze” mogli wprawdzie mówić o Litwinach jak pan Zagłoba, że „boćwinkowie mowy ludzkiej dobrze jeszcze nie umieją”⁸, ale

⁶ Zob. np. Jacek Bartosiak – o sytuacji Polski i świata w obliczu konfliktu USA–Chiny, <https://www.youtube.com/watch?v=ipubiPXLb8g>.

⁷ Zob. N. Davies, *Boże igrzysko. Historia Polski*, tłum. E. Tabakowska, Wydawnictwo Znak, Kraków 2003.

⁸ H. Siemkiewicz, *Ogniem i mieczem*, t. 2, w: tenże, *Wybór pism*, t. 6, PIW, Warszawa 1954, s. 385

nawet w dobie najwyższej kulturowej polonizacji szlachty litewskiej Wielkie Księstwo było pełnoprawnym partnerem i współtwórcą Rzeczypospolitej. Ukraina nigdy takim partnerem nie była. Nawykiem jest już wylewanie łez nad tym, że Rzeczpospolita Obojga Narodów nie stała się Rzeczpospolitą Trojga Narodów. Nie pozwalały jednak na to konflikty interesów. Nawet jeśli pojedynczy monarchowie – jak Władysław IV – próbowali wznieść się ponad nie, to ich inicjatywy były skutecznie blokowane przez sam ustrój państwa. Konflikty te można opisać krótko: Wielkie Księstwo jest skazane na konfrontację najpierw z Mongołami, a potem z Moskwą. Nie może też pominąć potęgi Szwecji. Ukraina przez Morze Czarne należy do strefy oddziaływań tureckich i mołdawskich. Wielkopolanie czy Małopolanie nie są zainteresowani ani jednymi, ani drugimi, gdyż w ich interesie leży pokój, który jest gwarancją sprawności handlu zbożowego. Wielkopolanina interesują ceny pszenicy i żyta w Amsterdamie i Gdańsku, a nie turecki pobór niewolników. Rzeczpospolita była w sensie politycznym państwem zbyt rozległym w stosunku do własnych mocy administracyjnych, politycznych i militarnych, a nawet w stosunku do codziennej potrzeby egzekucji prawa. By się tak wyrazić, nie mogła efektywnie „obsłużyć” wszystkich tych sprzecznych interesów. Nie potrafiła jednak również dokonać wyboru i z realizacji niektórych z nich zrezygnować. To w interesie Litwy wchodziła w konfrontację z Moskwą i Szwecją, to motywowana potrzebami Ukrainy, choć jeszcze bardziej interesami prywatnymi, wplątywała się w wojny z Turcją i „awantury mołdawskie”, to w interesie Wielkopolski i Małopolski nie uchwałała podatku na żadne wojny, a skandaliczną sprawę poboru niewolnika przez Tatarów chciała załatwić heroicznymi, lecz zawsze niewystarczającymi wysiłkami niedofinansowanej i zbyt mało liczebnej obrony potocznej. Rozpadanie się Rzeczypospolitej na regiony o odrębnych interesach i odmiennych powiązaniach nie wydaje się więc wynikać z narodzin nacjonalizmów ani nawet z konfliktów religijnych. Wynika z niewydolności niespójnego państwa. Kiedy odpowiedzialność za różne aspekty polityki zagranicznej muszą brać na siebie miejscowi magnaci, którzy nie bez powodu zaczynają przypominać monarchów, sprawa jest już – z dzisiejszej perspektywy – niewątpliwie jasna. Nie umniejszając znaczenia rodowej i osobistej pychy, należy jednak pytać, czy Janusz Radziwiłł, niewątpliwie zdrajca Rzeczypospolitej i jej króla, był też zdrajcą rzeczywistych interesów Litwy, czy były one jeszcze tożsame z interesami Rzeczypospolitej? Czy książę Dymitr Wiśniowiecki, idący z Kozakami na Krym, co mogło wplątać Rzeczpospolitą wbrew jej wszelkim interesom w niepotrzebną wojnę z Turcją, nie reprezentował słusznie pojętego, coraz bardziej już odrębnego interesu Ukrainy? Nie bez powodu stał się on bohaterem kozackiej pamięci. A Bohdan Chmielnicki? Historyczna wspólnota losu polega więc na tym, że dzieje dzisiejszych Polaków i Ukraińców naznaczone są tym samym rodowo-

dem, historią ulegającego rozpadowi – wewnętrznemu i zewnętrznemu – tego samego państwa, czyli dawnej Rzeczypospolitej. Naznaczone są też pamięcią o dawnej nierówności pozycji w owym państwie, o takich „drobiazgach”, jak odwołanie „na święty nigdy” wejścia prawosławnych biskupów do Senatu.

Najistotniejszą wspólnotą Polski i Ukrainy jest wspólnota losu społecznego, bo to ona pozwala przezwyciężyć dawne konflikty i niezabliźnione rany. Wiele się w Polsce pisze i mówi o postchłopskim charakterze obecnego polskiego społeczeństwa czy też o folwarcznym pochodzeniu nawet dzisiejszego modelu przedsiębiorstwa w naszym kraju. Nie są to opinie bezpodstawne i należałoby przemyśleć ich konsekwencje. Być może najważniejsza z nich jest ta, że współczesne państwa: ukraińskie i polskie, a także ich społeczeństwa, są państwami i społeczeństwami ludzi, którzy w dawnej Rzeczypospolitej stanowili poddanych drugiej kategorii. Postawmy sprawę jasno: Rzeczpospolita Obojga Narodów nie była państwem ani Polaków, ani Ukraińców w dzisiejszym rozumieniu. To państwo należało do szlachty, której potomkami jest niewielu z nas. Własność ta miała kilka wymiarów. W przeciwieństwie do późnośredniowiecznego państwa Jagiellonów, po zmarginalizowaniu przedstawicieli miast, naród polityczny tworzyła już wyłącznie szlachta. Ona jedynie – teoretycznie równa wobec prawa bez względu na pochodzenie etniczne czy wyznanie – posiadała politycznych reprezentantów i miała prawo decydowania o losie państwa. Ją też jako jedyną grupę obejmowały podstawowe formy ochrony prawnej, począwszy od *neminem captivabimus*. Poza tym szlachta, a właściwie jej najwyższa część, czyli magnateria, a więc arystokracja rodowa – bez względu na to, czy przysługiwały jej tytuły, czy też nie – była właścicielem państwa nie tylko w prawnym, ale i w realnym wymiarze władzy. Wystarczy ponownie przeczytać dzieło Jędrzeja Kitowicza⁹, by bez trudu zorientować się, jak fikcyjny charakter miała równość szlachecka i jak wąska oligarchia sprawowała w rzeczywistości władzę w imieniu demokracji szlacheckiej. Rzeczpospolita oznaczała więc rzecz wspólną wąskiej grupy Panów Hetmanów i Panów Ordynatów. Po trzecie, szlachta, znów ze szczególnym uwzględnieniem magnaterii, była władcą ekonomicznym; była jedynym obok Kościoła posiadaczem ziemi i jedynym w Rzeczypospolitej beneficjentem słynnego handlu zbożowego. Analizy przeprowadzane poza Polską wskazują jednoznacznie, że dla całości gospodarki Rzeczypospolitej handel ten miał skutki katastrofalne, a powiązane z nim korzyści finansowe czerpali, poza kupcami gdańskimi i przede wszystkim holenderskimi, wyłącznie właściciele ziemi¹⁰. Z punktu widzenia chłopów handel ten nie opierał się na eksporcie nadwyżek zbożowych, lecz sprzedaży

⁹ Zob. J. K i t o w i c z, *Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III*, Ossolineum, Wrocław 1951.

¹⁰ Por. B r a u d e l, dz. cyt., t. 3, s. 222-228.

ziarna kosztem wyżywienia ludności miejscowej. Rzeczpospolita była więc w podobnej sytuacji wobec Gdańska i Amsterdamu jak Irlandia po Cromwellu wobec Anglii, z tą jednak zasadniczą różnicą, że kontroli na miejscu nie dokonywali obcy urzędnicy, lecz grupa ludności miejscowej o szczególnym statusie, dopuszczona do udziału w zyskach z obrotu handlowego. Był to więc rodzaj kolonizacji wewnętrznej. Z tego punktu widzenia kwestia, czy chłop mówi po polsku, czy po rusku (choć oczywiście jego język polski był inny niż polski szlachcica, bo chłop ma mowę plugawą i szepleniącą), czy modli się w kościele, czy w cerkwi – nie ma szczególnego znaczenia. Wreszcie, szlachta była władcą społecznym, pośredniczącym między chłopem a państwem i efektywnie chłopem od państwa odcinającym. To szlachcicowi przysługiwało prawo decydowania o życiu i śmierci chłopów, prawo zbierania podatków i wiele innych praw. Większość historyków winą za to tak zwane wtórne poddaństwo obarcza handel zbożowy, a więc porządek ekonomiczny i społeczny zażębiają się. W obu tych porządkach rozróżnienia etniczne nie grają roli. Pamiętajmy zresztą, że nawet szlachta polskojęzyczna nie zawsze chciała być Polakami, był bowiem długi okres, gdy wolała się uważać za Sarmatów, najeźdźców irańskiego pochodzenia, którzy prawem miecza podporządkowali sobie miejscową, słowiańską ludność, czyli chłopów, i wciąż korzystają z dobrodziejstw podboju – a może nawet uważała się wprost za przedłużenie starych rodów rzymskich (jak Pacowie za krewnych Pazzich).

Większość współczesnych Polaków i Ukraińców dzieliłaby w dawnej Rzeczypospolitej wspólny los poddanych, jeśli nie wręcz niewolników. I tak jak porządek ustrojowy dyskryminował Ukrainę, tak porządek społeczny przez jakiś czas ją faworyzował. Ta po części ziemia niczyja, nękana najazdami tatarskimi, stanowiła czas jakiś oazę wolności i swoisty wentyl bezpieczeństwa dawnej Rzeczypospolitej: ucieczka na Dzikie Pola była miejscowym zastępnikiem wojen i buntów chłopskich (przez które regularnie przechodziła zachodnia Europa), a przy okazji stanowiła odroczenie wojny społecznej aż do czasów powstania Chmielnickiego. U początków etnogenezy narodu ukraińskiego nie stoi przecież wyłącznie żywioł ruski, bo Ruś Czerwona i Dzikie Pola zbierały ludność z całego kraju, oferując jej ucieczkę od społecznego jarzma. W tych warunkach na Ukrainie wyrastało nowe społeczeństwo o własnej organizacji, własnej kulturze i własnych instytucjach, takich jak Sicz Zaporoska. Społeczeństwo to z czasem miało się stać narodem ukraińskim. Rzeczpospolita nie zdołała pojąć tego procesu i nie doceniła jego potęgi, a może nawet nie próbowała się z nim zmierzyć. Prędzej czy później czekała ją jednak konfrontacja z alternatywnym łańcem na Ukrainie. Ukraina miała bowiem do zaoferowania żyzne ziemie i siłę roboczą, które chętnie wykorzystywałaby szlachecka gospodarka. Trzeba było tylko zamienić wolną ludność Ukrainy w poddanych chłopów, zgodnie z modelem innych części Rzeczypospolitej, których ludność

tak nawykła do jarzma, że już nawet nie próbowała się buntować. Trzeba było opanować step, zaprowadzić na nim regularną własność i go „ucywilizować”, to znaczy zapewnić mu struktury pozwalające na prowadzenie efektywnej gospodarki folwarcznej. Ci, którzy próbowali tego dokonać, świadomie czy nie, dążyli do wojny, Ukraina bowiem – inaczej niż chłopci w Polsce – miała swoje wojsko, i to nie byle jakie. Nieustanne zmniejszanie kontyngentów wojska zaporoskiego było zresztą stałą troską Rzeczypospolitej. Nie wiem oczywiście, jakie plany snuł Władysław IV, pytając Kozaków, czy nie mają samopałów i szabel przy bokach. Jeśli jakieś miał – nic z nich nie wynikało. Powstanie Chmielnickiego jest z tej perspektywy wojną społeczną podejmowaną przez ludzi, którzy zdołali się wyzwolić spod na wpół niewolniczego porządku, by na jego obrzeżach stać się narodem. Przyznaję, że zrozumienie faktu, że powstaniu na Ukrainie nie towarzyszyło powstanie chłopów w Polsce, może zbyt dokładnie już pod tym względem kontrolowanej, sprawia mi szczególną trudność. Rzeczpospolita wojnę tę przegrała, a jednak Ukraina nie uzyskała wolności. Znow kłania się geopolityka. Nieobecność Rzeczypospolitej oznaczała jedynie uwolnienie przestrzeni dla Turcji, reprezentowanej przez swych agentów Tatarów, i dla Moskwy. Znamy dalszy ciąg tej historii, wiemy też, że Chmielnicki, chcąc zerwać z Rzeczpospolitą, musiał pokłonić się Tatarom.

Wszystko to są sprawy aż nazbyt dobrze znane, należy jednak powracać do nich wciąż na nowo. Wyciągnijmy tu jeden wniosek. Dawne spory Ukrainy z Rzeczpospolitą, bez względu na to, jaki użytek ideologiczny czyniłyby z nich którakolwiek ze stron, nie były konfliktami między Polakami a Ukraińcami, lecz stanowiły próbę rewizji ładu społecznego, gospodarczego i politycznego Rzeczypospolitej, której to próbie Rzeczpospolita nie sprostała. Przodkowie znakomitej większości dzisiejszych Polaków i Ukraińców byli w tej wojnie po tej samej stronie, po stronie zbuntowanych lub pokornych poddanych, a walczyć przeciw sobie mogliby tylko wówczas, gdyby na nie-szczęście wcielono ich do piechoty.

Pomińmy długi epizod rozbiorowy, ponieważ zarówno losy Polaków, jak i Ukraińców nie zależały wówczas od ich decyzji. Nie znaczy to jednak, że nie było wówczas wydarzeń ważnych. Takim ważnym wydarzeniem było choćby ukazanie się w roku 1884 w czasopiśmie „Kraj” napisanej Bolesława Prusa recenzji „Ogniem i mieczem” Henryka Sienkiewicza¹¹. W recenzji tej chyba po raz pierwszy sprawa Ukrainy w dawnej Rzeczypospolitej ukazana została we właściwej optyce. Pomińmy też lata 1918-1939 – znow nie dlatego, że nie zachodziły wówczas rzeczy ważne, bo zachodziły, a gorzkie konsekwencje

¹¹ Zob. B. Prus, „*Ogniem i mieczem*” – powieść z dawnych lat Henryka Sienkiewicza, https://pl.wikisource.org/wiki/%22Ogniem_i_mieczem%22_powie%C5%9B%C4%87_z_dawnych_lat_Henryka_Sienkiewicza.

wielu z nich odczuwane są do dziś, lecz dlatego, że tymczasowy ład naszej części Europy druga wojna światowa zdmuchnęła jak świeczkę. Skupmy się za to na epizodzie, który miał miejsce zaraz po tej wojnie.

Z przemiany, jakiej wówczas uległa Europa, przemiany gruntownej, w której długim cieniu, mimo zakończenia zimnej wojny, nadal żyjemy, wydobędziemy tylko jeden aspekt. Nie będzie to nawet nie zimnowojenny ład, odmiennie owocujący dla Polski i Ukrainy, ale zanik państw wielonarodowych w dawnym stylu – gruntowna przemiana zasadniczego modelu politycznego Europy. Na drogę przemiany w wieku dziewiętnastym wstąpiło jeszcze niewiele krajów: Francja (która pozostawała na niej od dłuższego już czasu, a z całą pewnością od Rewolucji), bismarckowskie Niemcy i Włochy Garibaldiego. Proces ten rozpoczął się oczywiście dużo wcześniej. Pierwszym państwem dawnego typu, spojonym więzami ustrojowymi i prawnymi, nie zaś etnicznymi i językowymi, które nie wytrzymało konfrontacji z nowoczesnością, była już pod koniec osiemnastego wieku Rzeczpospolita Obojga Narodów. Spośród mocarstw rozbiorowych jedynie Austria reprezentowała ów dawny typ i – co nie zaskakuje – była „następna w kolejce” do rozpadu, choć w jej przypadku nie dokonał się on w sposób tak brutalny jak rozpad Rzeczypospolitej. Najpierw Napoleon skończył z najszacowniejszą, choć już komiczną iluzją uniwersalizmu w Europie, to znaczy z prawną fikcją ciągłego istnienia Cesarstwa Rzymskiego. Była to zapewne fikcja, którą należało już „dobić”, bo od panowania ostatniego cesarza zdającego się wierzyć w zawarte w tytule cesarskim przesłanie, czyli Karola V, upłynęło trochę czasu. Syn Karola V, Filip II, przejrzał fikcję na wskroś, zostawiając tytuł cesarski kuzynowi Maksymilianowi i austriackiej linii Habsburgów, a samemu przyjmując realny tytuł króla Hiszpanii. Napoleon nie tylko zmusił Habsburgów do rezygnacji z tytułu cesarza rzymskiego, ale też dokonał swoistej desakralizacji tradycji rzymskiej, koronując się na Cesarza Francuzów. Któż to jest Cesarz Francuzów? W Europie może być tylko cesarz rzymski, łaciński bądź grecki. Bonaparte nie zatroszczył się nawet o odpowiednią ideologię w rodzaju na przykład Czwartego Rzymu, miał więc mniej skrupułów, niż Iwan III i Iwan Groźny. Rozpad monarchii austro-węgierskiej po pierwszej wojnie światowej zniósł drugie po Rzeczypospolitej z modelowych państw starego typu. Po drugiej wojnie światowej w Europie pozostają tylko dwa ważne wyjątki od reguły państwa narodowego. Jednym z nich jest Związek Radziecki, który należałoby jednak określić jako pseudo-federację, od czasów stalinowskich jawnie już podporządkowaną wielkorosyjskiemu nacjonalizmowi (przypomnijmy sobie chociażby tony sowieckiej propagandy podczas drugiej wojny ojczyźnianej) i Wielka Brytania, gdyż Zjednoczone Królestwo idzie jak zawsze po swojemu odwrotną drogą: od państwa narodowego, które siłą podporządkowuje sobie innych, ku prawdziwej federacji. Triumfuje zatem państwo nowego typu, któ-

regu pierwociny śledzić zresztą można przez stulecia. To państwo definiowane będzie już nie przez wspólnotę ustrojową i prawną, nie przez lojalność wobec wspólnej władzy, najczęściej dynastii, lecz przez szczególny związek etniczności i terytorium. Nie przyznając tego głośno, europejskie państwa w swojej konstrukcji stają się realizacjami nazistowskiej zasady ziemi i krwi.

Większość jednak państw europejskich pochodzi od dawnych państw wielonarodowych, chyba tylko Francja jest pod tym względem wyjątkiem, ma bowiem za sobą dłuższy niż jakiegokolwiek inne państwo proces ujednoczenia. Hiszpania ma swoich Basków (którzy nie zapomnieli o Królestwie Nawarry) i dobrze pamiętającą niezależność Katalonię. Nowa Irlandia ma Belfast. Włochy mają tak wiele dialektów, że muszą uczyć w szkołach włoskiego jak języka obcego, a ponadto posługują się fikcją, która każe nazywać odrębne języki, jak sycylijski, właśnie dialektami włoskiego. Mają też cały ważny region niemieckojęzyczny. Lepiej nie wspominać o powojennej Jugosławii. Ta eksplozja państw narodowych w dziwny sposób dotyka Polskę i Ukrainę. Ukraina, rozbudzona już pod tym względem, czasem skrajnie, jak w przypadku Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i „banderowców”, nie może zrealizować swoich ambicji i stać się państwem narodowym nowego typu. Próbowwała tego dokonać u boku Trzeciej Rzeszy, lecz taktyka ta nie powiodła się, ale została przez wszystkich sąsiadów zapamiętana i ciąży nad pamięcią o Ukrainie (choć Finom, Słowakom, Litwinom, Rumunom, Chorwatom, a nawet tak głęboko zaangażowanym Węgrom nikt nie czyni dziś zarzutów z powodu stosowania tej samej taktyki – jakby Ukraina była jakimś wyjątkiem). Dopiero rozpad Związku Radzieckiego i jego reforma skutkująca powstaniem Wspólnoty Niepodległych Państw pozwoliły Ukrainie na nowo postawić swoje problemy. Wyzwania, przed którymi stoi Ukraina, zostały niejako przesunięte do teraźniejszości – z podobnymi kwestiami większość europejskich państw musiała się mierzyć najpóźniej po drugiej wojnie światowej. Podobnie jak Czechy i Słowacja w roku 1918 wychodziły z rozpadu Austro-Węgier, tak Ukraina wychodzi dziś z rozpadu swego rodzaju państwa uniwersalnego.

Sytuacja Polski była odmienna. Po roku 1945, na mocy decyzji z Poczdamu i Jałty, Polska została przesunięta na mapie kilkaset kilometrów na zachód i pomyślana od początku jako państwo narodowe nowego typu, ze wszystkimi tego konsekwencjami. (Rzeczywista niezależność tego państwa to inny problem). W pierwszym rządzie oznaczało to obowiązek zrównania zasięgu etnicznego żywiołu polskiego z nowo określonym terytorium. Z etnicznego punktu widzenia takie wyznaczenie terytorium to nie miało początkowo sensu, włączono do niego bowiem, jak wiadomo, ziemię z gruntu niemieckie, nie włączono zaś wielu ziem, na których przed drugą wojną światową dominowali etniczni Polacy. Oznaczało to konieczność brutalnego rozwiązania tej nierówności, a jedynym dostępnym środkiem były masowe repatriacje. Znamy tę

historię aż za dobrze. Po Shoah problem mniejszości żydowskiej właściwie już nie istniał, a jego pozostałości rozwiązano w obrzydliwy sposób w roku 1968, na fali antysemityzmu o może polskim, a może radzieckim rodowodzie. O losie równie istotnej mniejszości niemieckiej zadecydowały mocą swej władzy mocarstwa alianckie – nie była to, o czym rzadko się pamięta, decyzja władz polskich, ale właśnie zbiorowa decyzja aliantów – zarządzając bezwzględną deportację ludności niemieckiej za Odrę i Nysę Łużycką. Niemieckie ziomkostwa i związki wypędzonych rzadko pamiętają, że ich los określiły te same decyzje, które oddały Polskę Stalinowi. Jedynym poważnym problemem dla nowego, narodowego państwa polskiego, które aż po swój kres miało zostać bardziej nacjonalistyczne niż komunistyczne, byli Ukraińcy i inne mniejszości z południo-wschodu nowej Polski, jak Łemkowie i Bojkowie. Wzorce rozwiązania już istniały, dostarczyła ich polityka aliantów i specyficzna radziecka tradycja rozwiązywania problemów narodowościowych. Praktyczną realizacją tych rozwiązań stała się w roku 1947 akcja „Wisła”, przeprowadzona z całą bezwzględnością i skoordynowana z radziecką akcją „Zachód”. Nie tłumaczmy jednak tej akcji wyłącznie względami rekonstrukcji państwa, by nie wpaść w pseudo-Heglowskie usprawiedliwianie „kosztów postępu”. Akcja „Wisła” zawierała w sobie przecież element odwetu, zemsty skierowanej przeciwko Ukraińcom i ich dążeniom niepodległościowym, zbyt często realizowanym – co dla Polaków i dla Stalina nie było bez znaczenia – przy boku Trzeciej Rzeszy. Chociaż od siedemnastego wieku rachunek wzajemnych krzywd między Polakami a Ukraińcami narastał w sposób zatrważający, to akcje ukraińskich nacjonalistów podczas drugiej wojny światowej i zaraz po niej, a zwłaszcza działalność Ukraińskiej Powstańczej Armii i jej radykalnych odłamów oraz brutalny polski odwet pod postacią akcji „Wisła” przypieczętowały ten rachunek morzem krwi. Najgorszą cechą tego rachunku było to, że oficjalnie go nie było. Nad przepaścią, jaka wyrosła między Polakami a Ukraińcami, nad wzajemnymi krzywdami rozpamiętywanymi poza zasięgiem oficjalnych dyskursów, rozciągała się oficjalna przyjaźń, a nawet braterstwo między Polską Rzeczpospolitą Ludową a Ukraińską Socjalistyczną Republiką Radziecką. Taka sytuacja nic oczywiście nie mogła rozwiązać, ale leży ona u podstaw czwartego wymiaru wspólnoty, jaka łączy Polskę i Ukrainę.

Obok wspólnoty geopolitycznej, historycznej i społecznej, istnieje bowiem także wspólnota współczesnej sytuacji, którą – podobnie jak poprzednie – należałoby obarczyć wieloma zastrzeżeniami, aby nie zakryć bardzo istotnych różnic. Współczesna Polska i współczesna Ukraina wyrosły na gruncie rozpadu tego samego posowieckiego ładu. Oba te państwa i oba te społeczeństwa podejmują dziś w jakimś zakresie podobne zadania – zadania, które państwa Europy zachodniej podejmowały dziesięciolecia temu: budowę instytucji demokratycznych, demontaż poprzedniego ładu, integrację z nowymi struktu-

rami gospodarczymi i wreszcie przepracowanie tej bolesnej części pamięci, która nie uzyskała prawa głosu przez ostatnie pół wieku. Do tych podobieństw dochodzą znaczące różnice. Sytuacja Polski jest komfortowa. W strukturach NATO Polska jest tak bezpieczna, jak to tylko w tej części Europy możliwe i jak bezpieczna nie była chyba nigdy. To bezpieczeństwo, nie zawsze dość w Polsce doceniane, wiąże się oczywiście z koniecznością sędowania części własnych decyzji na struktury międzynarodowe, co w kraju, który długo żył snem o niepodległości i który rzeczywistej niepodległości zaznawał tylko wyjątkowo, budzi możliwe do przewidzenia frustracje części społeczeństwa. Być może sytuacja byłaby spokojniejsza, gdyby nowe państwo polskie wchodziło w owe struktury międzynarodowe – absolutnie mu niezbędne – jako okrzepłe i oswojone, a nie jako świeża zdobycz. Ukraina nie korzysta z bezpieczeństwa, jakie dają owe struktury, a międzynarodowe gwarancje dla jej integralności terytorialnej dopiero co okazały się niewiele warte. Ukraina dokonuje więc swoich przemian w sytuacji rzeczywistego zagrożenia militarnego, a zatem w warunkach, których zupełnie nie da się porównać z sytuacją Polski.

W budowie swoich nowych instytucji politycznych i rozwiązań z zakresu polityki społecznej Polska opierać się może z kolei na strukturach Unii Europejskiej, ze wszystkimi konsekwencjami, jakie dla tej sytuacji mają radykalne roszczenia niepodległościowe. Polskie społeczeństwo zaraz po opóźnionej budowie niezależnego państwa narodowego musiało się skonfrontować z faktem, że struktura takiego państwa stała się już w Europie archaiczna i Europa dąży do federacji nowego typu. Jak zwykle jesteśmy nie na czasie. Jakiego rodzaju konflikt wewnętrzny sytuacja ta powoduje w Polsce – wszyscy wiemy. Kraj podzielił się na wrogie sobie obozy, które reprezentują trudne do pogodzenia typy świadomości: z jednej strony chęć dokończenia budowy w pełni niepodległego państwa narodowego, co musi prowadzić do konfrontacji ze współczesną Europą, z drugiej zaś dążenie do głębokiej integracji ze światem zachodnim, nie tylko politycznej i gospodarczej, ale też kulturowej i aksjologicznej. Pretekstem do walki może być więc wszystko, od sposobu nauczania historii w szkołach, po rzeczy tak prywatne, jak orientacja seksualna i wegetarianizm, a nawet jazda na rowerze. Niemal nie ma już w Polsce czynności, które z punktu widzenia tego konfliktu byłyby neutralne, a narzędziem sporu staje się wszystko, od religii, po sposoby spędzania wolnego czasu.

Ukraina ma przed sobą przynajmniej trzy możliwości. Dwie z nich są podobne do polskich, chociaż nieporównanie trudniejsze do zrealizowania: dążenie do pełnej niepodległości lub integracja ze strukturami europejskimi. Trzecią możliwością dla Ukrainy, której z oczywistych względów nigdy nie można odsunąć, jest taka czy inna forma zależności od Rosji. Rosja uważa, że Ukraina jest taką strefą jej wpływów, że rosyjskie posunięcia w niej nie muszą być konsultowane z partnerami międzynarodowymi. Nie ma więc czego

Ukrainie zazdrości. Obydwa kraje, Polska i Ukraina, zachowały przy tym własne nurty radykalne, które przetrwały sowiecką dominację i upominają się dziś o spełnienie dawnych ambicji.

Cóż może wynikać z tych wielorakich form wspólnoty, podobieństw i przeciwności, które łączą i dzielą współczesną Polskę i Ukrainę? Na pierwszy rzut oka wydawać by się mogło, że jedyne, co poważnie zagraża relacjom polsko-ukraińskim, to wzajemnie przeciwna orientacja skrajnych ruchów narodowych, świetnie słyszalnych i łatwych do zaobserwowania, ale z rzadka jedyne, jak wszystkie ruchy radykalne, dysponujących rzeczywistym poparciem „milczącej większości”. Pozostaje jednak jeszcze nieprzepracowana pamięć, w której nawarstwiły się konflikty od czasów kozaczyzny po walki UPA i Akcję „Wisła”. Polacy i Ukraińcy pamiętają większość z tych wydarzeń inaczej. Nie da się jednak egzorcyzmować demona, nie wypowiadając jego imienia. Jest to zadanie dla polskich i ukraińskich humanistów, którzy nie są bynajmniej społecznie zbędni. Tym zadaniem nie jest usprawiedliwianie czegokolwiek – nie można bowiem usprawiedliwić mordów, masowych przesiedleń i stuleci krzywdy – ale wyjaśnianie sytuacji, w jakiej do nich doszło, ukazywanie całego splotu wszelkich okoliczności, które do sytuacji takiej doprowadziły. Chodzi więc o to, by czynić ludzi wzajemnie dla siebie zrozumiałymi, by powiedzenie „jesteś potworem” można było zastąpić powiedzeniem „to, co zrobiłeś, przeraża mnie, ale rozumiem, jak do tego doszło”. Zrozumienie to początek wybaczenia.

Wszystko zdaje się dziś zrozumieniu temu sprzyjać: bezpośrednie wzajemne kontakty, więcej wzajemnej życzliwości niż wrogości, zwykła ludzka bliskość, jaka łączy dzisiaj tak wielu Polaków i Ukraińców. Żeby tej atmosfery nie zmarnować, trzeba nieustannie podkreślać trzy sprawy. Po pierwsze, znakomita większość z nas jest potomkami ludzi, którzy w dawnych państwach byli równie pokrzywdzeni, i konflikty naszych niegdysiejszych panów nie muszą być naszymi konfliktami. Starałem się uzasadnić takie zdanie w całym niniejszym tekście. Sukcesowi takiego myślenia może sprzyjać tak często potępiany zwyczaj mówienia o wszelkiej władzy: „oni”. My przecież wiemy, że nasze państwa nie były nasze, i mówiąc o władzy „oni”, dajemy tylko wyraz stuleciom wspólnych doświadczeń. Po drugie, trzeba przeprowadzać nieustanną krytykę naszej zbiorowej pamięci. Z polskiej strony oznacza to nie lada zadanie, doszło bowiem po drugiej wojnie światowej do zadziwiającej sytuacji, gdy oto potomkowie dawnych chłopów kulturę swych dawnych panów uznali za swoją. Każdy w Polsce utożsamia się ze szlacheckimi bohaterami, wydaje nam się, że w siedemnastym wieku bylibyśmy Kmicicami, i nawet nie zauważamy, jakim językiem mówi Kmicic o naszych pradziadkach. Trzeba to nasze złudzenie nieustannie rozbijać, co jest wysiłkiem doprawdy tytanicznym, jeśli pamiętać, że iluzję tę budowano przez cały okres rozbiorów

i później, a jej budowy nie przerwał PRL. Po trzecie, wciąż nie dość przypominania, że nigdy nie braknie ludzi, ugrupowań i stronnictw, w których interesie będzie leżało podsycanie dawnych konfliktów, szermowanie nimi, naginanie faktów i manipulowanie możliwą do wzbudzenia nienawiścią. Jest to standardowy obraz każdej polityki, z której takich postaw świadomie się nie eliminuje, ponieważ świadoma eliminacja tylko prowokuje ich dziki rozrost poza zasięgiem publicznej słyszalności. Takich głosów więc nie braknie, a ich zagłuszanie może być bardziej niebezpieczne, niż same te głosy. To kolejne zadanie dla humanistów, zwłaszcza pracujących w szkołach: uczyć ludzi, jak rozpoznać, że ktoś próbuje nimi manipulować.

Wieloraka wspólnota losów Polski i Ukrainy jest uświadamiana po obu stronach granicy i odbija się dziś we wzajemnych postawach. Być może wystarczyłoby zaufać codzienności, która zbliża do siebie oba narody. W końcu niezależnie od geopolityki i historii jesteśmy wszyscy ludźmi zdolnymi do wspólnoty, odwołującymi się do moralności o wspólnym pochodzeniu. Jesteśmy dobrze wzajem ze sobą oswojeni. Być może wystarczyłoby usuwać przeszkody. Na przykład w polskich szkołach w aurze moralnego autorytetu prezentuje się na lekcjach wiersz Zbigniewa Herberta *Przesłanie Pana Cogito*, w którym pada zdanie: „i nie przebaczaj zaiste nie w twojej mocy / przebaczać w imieniu tych których zdradzono o świecie”¹². Piorunujące słowa, wzniosłe, potworne, nieludzkie. Może więc najpierw należy przestać uczyć nasze dzieci takiej moralności?

¹² Z. H e r b e r t, *Przesłanie Pana Cogito*, w: tenże, *Wiersze zebrane*, Wydawnictwo a5, Kraków 2008, s. 439.